

TRZEPOTANIE JEGO SKRZYDEŁ

LEWA REKA BOGA III



PAUL HOFFMAN

I

Krótkie sprawozdanie na temat obłąkanego Thomasa Cale'a. Trzy rozmowy w klasztorze na wyspie Cypr.

(Notabene: Opinia ta została wystawiona po tym, jak matka przełożona Allbright doznała udaru. Notatki, które sporządziła w dokumentacji, zaginęły wraz ze szczegółowymi informacjami dotyczącymi przyjęcia Thomasa Cale'a do szpitala. Raport ten należy czytać ze świadomością braku powyższej dokumentacji, tak więc jej autorka nie ponosi odpowiedzialności za żaden z poniższych wniosków).

CECHY FIZYCZNE

Średniej postury, niezwykle blady. Brak środkowego palca lewej dłoni. W czaszce widoczne wgłębienie po pęknięciu. Duży keloid w tkance łącznej blizny na lewym ramieniu. Pacjent twierdzi, że cierpi na sporadyczne bóle z powodu wszystkich doznanych obrażeń.

OBJAWY

Gwałtowne odruchy wymiotne, następujące zwykle wczesnym popołudniem. Wyczerpanie. Cierpi na bez-

senność, a kiedy udaje mu się zasnąć, męczą go koszmary senne. Duża utrata wagi.

HISTORIA

Thomas Cale nie wykazuje urojeń historycznych ani niekontrolowanych zachowań poza tymi, które wynikają z jego odstręczającego charakteru. Popołudniowe ataki torsji powodują silne wyczerpanie i niezdolność do rozmowy, zwykle po nich zasypia. Wieczorem odzyskuje zdolność mówienia, lecz jego sarkastyczny i cierpki sposób bycia się nie zmienia. Twierdzi, że został kupiony za sześć pensów przez kapłana Zakonu Powieszonego Odkupiciela od rodziców, których nie pamięta. Jest komiczny, irytująco pretensjonalny i lubi wprawiać swych rozmówców w zakłopotanie, ponieważ trudno odgadnąć, czy sobie z nich kpi, czy nie; w innych sytuacjach zaś wręcz przeciwnie, czyni aż nadto oczywistym, że naprawdę z nich szydzi. Opowiada o swoim wychowaniu w Sanktuarium historii, które zdają się być jawnym wyzwaniem, bym nie dała wiary okrucieństwom, jakie tam znosił. Utrzymuje — a również i w tym przypadku trudno odgadnąć, na ile mówi poważnie — że podczas rekonwalescencji po urazie, który spowodował wglębiecie w czaszce, jego wyjątkowa sprawność w walce (kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się, że się tym chełpił, lecz w czasie rozmowy nie sprawiał takiego wrażenia) wzrosła jeszcze bardziej i od tamtej pory podobno zawsze potrafi przewidzieć zamiary każdego przeciwnika. Brzmi to nieprawdopodobnie, lecz odrzuciłam propozycję, by mi to zademonstrował. Cała reszta jego opowieści dorównuje pod względem nieprawdopodobieństwa najbardziej szalonym dziecięcym fantazjom o brawu-

rowych wyczynach i awanturach. To największy łgarz, jakiego w życiu widziałam.

Oto w skrócie jego historia. Jego żywot w Sanktuarium, wypełniony bólem i morderczym szkoleniem wojskowym, zakończył się dramatycznie pewnej nocy, kiedy przypadkiem Cale stał się świadkiem wiwisekcji dokonywanej przez wysokiego rangą zakonnika odkupicieli na dwóch młodych dziewczętach, rzekomo w ramach eksperymentu mającego pomóc w odkryciu sposobów niwelowania władzy kobiet nad mężczyznami. Cale zabił odkupiciela i uciekł z Sanktuarium z jedną z dziewcząt oraz dwoma przyjaciółmi, a w ślad za nimi w pogoń rzuciły się dziesiątki mściwych zakonników. Wymknąwszy się pościgowi, czwórka uciekinierów trafiła do Memphis, gdzie Thomas Cale przysporzył sobie wielu wrogów, co uznaję za nader prawdopodobne, oraz (co znacznie mniej prawdopodobne) zyskał potężnych sojuszników, w tym cieszącego się złą sławą IdrysPukkego oraz jego przyrodniego brata Viponda, pełniącego podówczas funkcję kanclerza. Mimo tych wszystkich atutów jego porywcza natura oraz skłonność do przemocy wzięły górę w brutalnej i zdumiewająco bezkrwawej (tak przynajmniej twierdzi) zwadzie z kilkoma młodzikami z Memphis, z której to (oczywiście) wyszedł zwycięsko. Czekaloby go nieuniknione więzienie, gdyby lord Vipond w tajemniczy sposób nie interweniował w jego obronie. Cale'a wysłano na prowincję pod opieką IdrysPukkego. Spokój myśliwskiej rezydencji Materazich zakłóciło przybycie kobiety, która próbowała go z niewyjaśnionych powodów zabić. Morderstwo zostało udaremnione bynajmniej nie przez jego cudowne zdolności, ponieważ pływał wówczas nago w rzece, lecz

przez tajemniczego i bezczelnie wyniosłego nieznajomego, który zabił niedoszłą zabójczynię strzałą w plecy. Następnie jego wybawca zniknął bez śladu i wyjaśnień.

Do tego czasu zakonnicy w Sanktuarium odkryli już miejsce pobytu Cale'a i postanowili wypłoszyć go (jak twierdzi) z kryjówki. W tym celu porwali Arbell Matarazzi, córkę doży Memphis. Kiedy go spytałam, czemu odkupiciele mieliby dla niego ryzykować krwawą wojnę z największą świecką potęgą militarną na świecie, roześmiał mi się w twarz i powiedział, że w stosownym momencie wyjawi mi, skąd się bierze jego wyjątkowość, ale nie teraz. Z mojego doświadczenia wynika, że wielu szaleńców traktuje siebie z największą powagą, ale osobliwością Thomasa Cale'a jest to, że człowiek uprzytamnia sobie jego szaleństwo kilka godzin po rozmowie. W jego obecności, słuchając nawet najbardziej niewiarogodnych historii, które opowiada, niedowierzenie gdzieś pierzcha i dopiero dużo później ogarnia człowieka niesamowite, irytujące odczucie, jakby został podstępnie nakłoniony przez bazarowego szarlatana do kupienia buteleczki rzekomo cudownego środka za wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Spotykałam się wcześniej z taką właściwością u niektórych szaleńców, lecz niezmiernie rzadko. Czasami ich urojenia są tak osobliwe i silne, że potrafią zwieść nawet najostrożniejszego anomistę.

Oczywiście Thomas Cale uratował piękną księżniczkę z rąk niegodziwych odkupicieli, jednak należy zaznaczyć okoliczność godną odnotowania, że nie uczynił tego w szlachetnej i honorowej walce z przeważającą liczbą wrogów, lecz zadżgawszy większość z nich sztyletem,

kiedy spali. To kolejna osobliwa cecha jego urojeń — żadne z długiej listy jego wielkich zwycięstw nie zostało osiągnięte za pomocą bohaterskich czynów ani szlachetnej dzielności, lecz dzięki niemoralnym podstępom i zimnej, bezlitosnej kalkulacji. Zwykle podobni jemu szaleńcy przedstawiają siebie jako mężnych i rycerskich, tymczasem Thomas Cale przyznaje się otwarcie, że zatrzał wodę pitną swoich wrogów gnijącymi truchłami zwierząt oraz że zabijał przeciwników, kiedy spali. W tym miejscu warto przytoczyć w skrócie jedną z naszych rozmów.

JA

Czy zawsze zabija pan bezbronnych jeńców?

PACJENT

To łatwiejsze niż zabijanie uzbrojonych.

JA

Więc uważa pan, że ludzkie życie jest tak mało warte, że można z niego kpić?

PACJENT

(brak odpowiedzi)

JA

Nigdy nie okazuje pan litości?

PACJENT

Nigdy.

JA

Dlaczego?

PACJENT

Ponieważ oni by mi jej również nie okazali. Poza tym, gdybym ich uwolnił, wkrótce znów musiałbym z nimi walczyć. Wtedy sam mógłbym zostać jeńcem... i zginąć.

JA

A co z kobietami i dziećmi?

PACJENT

Nigdy nie zabijałem ich rozmyślnie.

JA

Ale zabijał pan?

PACJENT

Tak. Zabijałem.

Pacjent twierdzi, że kazał zbudować obóz, aby odizolować żony i dzieci podczas zbrojnego powstania Ludu, lecz ponieważ oddelegowano go do innych zadań, pięć tysięcy zamkniętych tam osób umarło z głodu oraz wskutek chorób. Kiedy go spytałam, co czuł, kiedy się o tym dowiedział, odparł: „A co powinienem czuć?”.

Wracając do jego historii. Po brutalnym ocaleniu pięknej Arbell Materazzi (czy w świecie urojeń nie ma księżniczek o przeciętnej urodzie?) awansowano go razem z jego dwoma przyjaciółmi na stanowisko strażników owej młodej niewiasty, wobec której przejawiał w ciągu naszych trzech długich rozmów głęboką niechęć za jej niewdzięczność oraz pogardę, z jaką go traktowała. Gorycz ta wydaje się mieć na niego ogromny wpływ,

głównie z powodu przekonania, że odkupiciele zdobyli Memphis wyłącznie dlatego, że Materazzi nie zrealizowali jego planu strategicznego. (Notabene: Utrzymuje on, że jego zdolności militarno-przywódcze są jeszcze większe niż sprawność w bezpośredniej walce).

Choć zwykle sarkastyczny i nad wyraz rzeczowy, kiedy chełpi się wyczynami, jakich dokonał w drodze do władzy — jeszcze raz podkreślam, że jego osobliwie ironiczny ton nie nadaje tym opowieściom charakteru przechwałek, dopóki słuchacz nie zaczyna ich spokojnie analizować po zakończonej rozmowie — ogarnia go nagłe i głębokie oburzenie, gdy opowiada o swoim pojmaniu przez odkupicieli po bitwie na Wzgórzu Silbury (bez wątpienia naszej wspólnej klęsce, bez względu na to, czy Thomas Cale miał w niej swój udział, czy nie). Niewykluczone, że dostał się gdzieś w wir bitwy i w jakiś mniej znaczący sposób stał się jej uczestnikiem, jego opis wydarzeń nosi bowiem cechy autentycznych przeżyć. Jak każdy dobry gawędziarz potrafi wplatać w opowiadanie prawdziwe wydarzenia ze swego życia, dzięki czemu wymyślona historia zyskuje na wiarygodności. Wyraża na przykład często skruchę z powodu wszystkich szlachetnych i wspaniałomyślnych czynów, jakich dokonał. Mówi, że narażał życie, aby uratować młodego Materazziego, który go wcześniej prześladował i wyśmiewał, teraz zaś gorzko żałuje tego chwalebego uczynku. Kiedy spytałam, czy jego zdaniem wielkoduszne czyny wobec innych ludzi są zawsze złe, odparł, że może nie są złe, ale zgodnie z jego doświadczeniami zawsze kończą się „cholerną katastrofą”. Ludzie chcą szerzyć dobro tak usilnie, że w końcu postanawiają je wcielać w życie ostrzem miecza.

Odkupiciele są tak opętani na punkcie dobra, że postanowili zabić wszystkich, łącznie z samymi sobą, aby rozpocząć wszystko na nowo. Okazało się, że to właśnie z tego powodu jego dawny opiekun, odkupiciel Bosco, wywołał wojnę z Materazzimi, aby go odzyskać za wszelką cenę. Thomas Cale nie jest (rzecz jasna) zwykłym chłopcem, lecz ucieleśnieniem boskiego gniewu, który ma zetrzeć z powierzchni ziemi największą boską pomyłkę (czyli mnie i was, aby nie było wątpliwości). Leczyłam sklepikarzy przekonanych, że są wielkimi generałami, a także ludzi, którzy ledwo umieli czytać, a uważali się za poetów o niezrównanym geniuszu, lecz nigdy przedtem nie spotkałam się z tak niewiarygodnie rozdętym egocentryzmem, i to w dodatku u dziecka. Kiedy go spytałam, od jak dawna żywi to przekonanie o swojej wielkości, zaczął wracać pamięcią wstecz i z wielką złością w głosie oświadczył, że to nie on, Thomas Cale, żywi to przekonanie, tylko odkupiciel Bosco. Zapytałam go następnie nieco ostrożniej, czy uważa odkupiciela Bosco za szaleńca, na co on odrzekł, że nie spotkał w życiu odkupiciela, który by nim nie był, i że według niego bardzo wielu ludzi, którzy wydają się zdrowi na umyśle, kiedy znajdują się w opałach, okazują się kompletnie „pozbawieni piątej klepki”. Nie spotkałam się dotąd z tym określeniem, lecz jego znaczenie wydaje się oczywiste.

Tak więc Cale odznacza się sporą inteligencją w unikaniu rozmowy o implikacjach jego urojeń o własnej wielkości, twierdzi bowiem, że jest zdolny zniszczyć cały świat, lecz nie jest to jego urojenie, tylko opinia potężnych ludzi. Kiedy go spytałam, czy uczyniłby taką rzecz, odpowiedział mi niezwykle ordynarnym języ-

kiem, lecz sens jej był taki, że w żadnym wypadku. Na pytanie zaś, czy ma wystarczające umiejętności, aby to uczynić, uśmiechnął się — niezbyt miło — i odparł, że spowodował śmierć tysięcy ludzi w ciągu jednego dnia, pozostaje więc tylko pytanie, ile tysięcy i w ile dni.

Po ponownym schwytaniu Cale'a odkupiciel Bosco wyjawiał mu ze szczegółami rolę, jaką ma odegrać pod postacią Anioła Śmierci, po czym zaprzął go do dzieła. Cale nienawidzi owego „Bosca” (nowy papież nazywa się Bosco, jak widać Thomas Cale lubi kłamać z rozmachem), choć najwyraźniej kupując chłopca za sześć pensów, szkoląc go, a następnie wynosząc do potęgi bez mała boskiej, jest on paradoksalnie źródłem i sprawcą doskonałości swego podopiecznego. Kiedy zwróciłam na to uwagę Cale'owi, odrzekł, że o tym wie, chociaż wyraźnie trafiłam w czuły punkt jego próżności (która jest doprawdy ogromna).

Wymienił następnie całą litanię bitew, z których wszystkie zdawały mi się takie same i w których naturalnie niezmiennie odnosił zwycięstwo. Spytany, czy w całym tym ciągu sukcesów ani razu nie poniósł porażki, spojrzął na mnie, jakby miał chęć poderżnąć mi gardło, po czym wybuchnął śmiechem, niezwykle osobliwym, przypominającym raczej szczeknięcia, jak gdyby nie mógł powstrzymać czegoś bardzo dalekiego od wesołości czy choćby kpiny.

Te liczne zwycięstwa sprawiły, że Bosco przestał go zbyt pilnie strzec, i po kolejnej wielkiej bitwie, w której Cale pokonał największego i najgroźniejszego przeciwnika, chłopiec wymknął się w powstałym zamieszaniu

i po jakimś czasie trafił do Hiszpańskiego Leeds. Tutaj po raz pierwszy dopadły go dolegliwości, które przywiodły go do nas. Byłam świadkiem jednego z ataków i muszę przyznać, że wyglądają zatrważająco i bez wątpienia są bardzo uciążliwe dla cierpiącego. Całym jego ciałem wstrząsają okropne konwulsje, jakby chciał coś zwymiotować, lecz nie mógł. Twierdzi, że przysłali go tu jacyś potężni i wpływowi przyjaciele z Hiszpańskiego Leeds. Nie muszę dodawać, że po tych wpływo- wych dobroczyńcach nie pozostał żaden ślad. Kiedy spytałam, czemu go nie odwiedzają, wyjaśnił — jakbym była idiotką — że dopiero co przyjechał na Cypr i że to zbyt daleko, aby mogli go regularnie odwiedzać. Celowo wybrano tak dalekie miejsce, aby zapewnić mu bez- pieczeństwo. „Przed czym?”, spytałam. „Przed tymi wszystkimi, którzy chcą mnie zabić”, odparł.

Powiedział, że przybył tu wraz z towarzyszącym mu lekarzem oraz listem do matki przełożonej Allbright. Przyciśnięty do muru, wyznał, iż lekarz wrócił nazajutrz do Hiszpańskiego Leeds, lecz przed wyjazdem odbył wielogodzinną rozmowę z matką przełożoną. Naturalnie Thomas Cale musiał skądś przyjechać i niewykluczone, że w istocie towarzyszył mu ktoś, kto przywiózł list i rozmawiał z matką przełożoną, zanim dostała udaru. Jej choroba oraz zaginięcie dokumentacji sprawa- ją, że przypadek Thomasa Cale’a zawisł niejako w przedsionku piekła, gdzie na wieczność trafiają dusze dzieci nieochrzczonych. Zważywszy na jego urojenia, które cechuje skrajna przemoc (choć, aby być szcze- rym, należy zauważyć, że nie przejawia się ona w jego zachowaniu), za najlepsze rozwiązanie uważam umiesz- czenie go na oddziale zamkniętym do czasu, gdy odnaj-

dzie się list w jego sprawie lub matka przełożona powróci do zdrowia na tyle, by móc nam powiedzieć coś więcej. W obecnym stanie rzeczy nie ma nikogo, do kogo mogłabym choćby napisać w jego sprawie. Jest to sytuacja wysoce niezadowolająca i nie pierwszy wypadek zaginięcia dokumentacji. Porozmawiam z zielarzem, który ma się zjawić pojutrze, o możliwości złagodzenia jego objawów. Co zaś do urojeń i manii wielkości, które przejawia Thomas Cale, to wyleczenie ich zajmie zapewne wiele lat.

Anomistka, Anna Calkins

Przez kilka tygodni Cale leżał w łóżku, spał i wymiotował na przemian. Dopiero po kilku dniach zauważył, że drzwi na końcu wielkiej sali z dwudziestoma łózkami są zawsze zamknięte, lecz była to rzecz, do której przywykł, a ponadto w obecnej sytuacji zupełnie bez znaczenia — i tak nie miałyby sił, aby dokądkolwiek iść. Jedzenie podawano tu znośne, opieka była całkiem życzliwa. Nie podobało mu się wprawdzie, że znów musi spać w jednej sali z innymi mężczyznami, lecz dziewiętnastu to niewiele, a ponadto wszyscy wydawali się pogrążeni we własnych koszmarach i nie zwracali na niego uwagi. Mógł więc żyć sobie w spokoju i jakoś to przetrwać.

2

Dwaj Trevorzy, Lugavoy i Kovtun, spędzili niezwykle frustrujący tydzień w Hiszpańskim Leeds, szukając sposobu, by dotrzeć do Thomasa Cale'a. Poszukiwania utrudniał fakt, że musieli wykazać dużą ostrożność w mieście Kici Zająca (którym Hiszpańskie Leeds teraz się stało). Kici nie wypadało złościć, nie chcieli też, aby odkrył ich zamiary. Lubił bowiem łapówki, a oni nie mieli najmniejszej ochoty płacić bajońskich sum, jakich Kicia zażądałaby za zgodę na działanie na jego terenie. To miało być ich ostateczne zlecenie i nie zamierzali się z nim dzielić nagrodą. Musieli przeprowadzić wyjątkowo dyskretny wywiad, co nie jest łatwe w sytuacji, gdy sposobem perswazji, jaki się zwykle stosuje, jest groźba, a strach najczęstszym środkiem płatniczym. Zaczęli już rozważać posłużenie się jednak radykalniejszą metodą, kiedy dyskrecja się wreszcie opłacała. Dowiedzieli się o pewnej młodej szwaczce mieszkającej w mieście, która zachwalała swe usługi zamożniejszym klientom, chełpiąc się, zgodnie z prawdą, że to ona uszyła elegancki strój, który miał na sobie Thomas Cale podczas sławnej wizyty na królewskim bankiecie wydanym na cześć Arbell Materazzi oraz jej męża Conna.

Kto wie, jaka cenna informacja mogła się wymknąć Cale'owi, kiedy dziewczyna mierzyła wewnętrzną długość no-

gawki? Krawcy są niemal równie dobrymi informatorami jak duchowni, a w dodatku łatwiej nimi manipulować, ich nieśmiertelnym duszom nie groziło bowiem wieczne potępienie za przekazanie jakiejś plotki; nie ma wszak czegoś takiego jak tajemnica przymierzalni. Okazało się jednak, że młodą szwaczkę nie tak łatwo zastraszyć, jak sądzili.

— Nic nie wiem o Thomasie Cale’u, a nawet gdybym wiedziała, to i tak bym wam nie powiedziała. Idźcie precz.

Odpowiedź ta znaczyła, że nastąpi jedna z dwóch rzeczy. Trevor Kovtun pogodził się z tym, że za chwilę popełni brutalny czyn, nie bacząc na ograniczenia w mieście Kici Zająca. Zamknął drzwi warsztatu i opuścił żaluzję w otwartym oknie. Szwaczka nie traciła sił na prośby, by tego nie robił.

Przystępując do pracy, ściszyli głosy.

— Mam już dosyć tego, co musimy jej zrobić — powiedział Trevor Lugavoy. Była to zarówno prawda, jak i sposób na zastraszenie dziewczyny. — Naprawdę chcę, żeby to była nasza ostatnia robota.

— Przestań tak gadać. Jeśli będziesz ciągle powtarzał, że to nasza ostatnia robota, to w końcu zapeszysz i coś się nie uda.

— Chcesz powiedzieć, że słucha nas jakaś siła nadprzyrodzona i pokrzyżuje nam plany?

— Nie zaszkodzi czasem zrobić coś tak, jakby istniał jakiś Bóg. Lepiej nie kuś losu.

Trevor Kovtun podszedł do szwaczki, która nagle zrozumiała, że czeka ją coś bardzo złego.

— Wyglądasz na bystrą dzierlatkę: masz własny sklep i niewyparzony język.

— Zawołam badiela!

— Za późno, moja droga. Nie ma na świecie takiego badiela, który mógłby ci teraz pomóc, żadnego obrońcy ani wybawiciela, nikt cię nie uratuje. Myślałaś, że jesteś w tym

mieście bezpieczna? Przecież niegłupia z ciebie dziewczynka, musisz wiedzieć, że tam, za oknem, czyhają straszne rzeczy.

— Na przykład my.

— Tak, tak. Jesteśmy jak złe wieści.

— Bardzo złe.

— Skrzywdzicie go? — spytała, szukając drogi ucieczki.

— Zabijemy — powiedział Trevor Kovtun. — Ale obiecaliśmy zrobić to najszybciej, jak się da, bez znęcania się; to będzie bardzo sprawna śmierć — zapewnił. — A ty musisz zdecydować za siebie: chcesz żyć czy umrzeć?

Co tu było do decydowania?

Kiedy wychodzili ze sklepu, Kovtun zauważył, że jeszcze rok temu zabiliby dziewczynę w tak niewypowiedzianie okrutny sposób, że wszelka myśl o oporze wyparowałaby jej z głowy w mgnieniu oka niczym letnia mżawka na wielkich słonych równinach Utah.

— To było rok temu — odrzekł Trevor Lugavoy. — Poza tym mam wrażenie, że kończą nam się śmierci. Lepiej bądźmy oszczędni. Cale powinien być naszym ostatnim zleceniem.

— Powtarzasz to od dwudziestu lat, niemal od chwili, kiedy zaczęliśmy.

— Tym razem mówię poważnie.

— Nie powinienes mi mówić o skończeniu, dopóki nie skończymy, wtedy moglibyśmy skończyć. A teraz, kiedy ciągle trąbisz o tym, że to nasza ostatnia robota, zrobiłeś z tego fakt. Jeśli chcesz ściągnąć na siebie uwagę Boga, zdradź mu swoje plany.

— Nie sądzisz, że gdyby istniał jakiś Bóg zainteresowany wtykaniem nosa w cudze sprawy, to już dawno by nas powstrzymał? Albo Bóg wtrąca się w życie ludzi, albo nie, nie ma nic pośrodku.

— Skąd wiesz? Jego zamiary mogą być przed nami ukryte.

Byli doświadczonymi ludźmi, nawykłymi do borykania się

z trudnościami, więc niespecjalnie zaskoczyła ich wiadomość, że Cale wyjechał w niewiadomym kierunku z przyczyn, których dziewczyna nie potrafiła wyjaśnić. Udało im się za to zdobyć imię Mętnego Henriego, dość dokładny opis chłopaka z blizną na twarzy oraz przekonujące zapewnienie, że on będzie wiedział, dokąd wyjechał Cale.

Przez następne trzy dni Trevorzy kręcili się po mieście, zadając niewinne pytania i starając się nie rzucać w oczy. Teraz potrzebowali już tylko odrobiny cierpliwości.

* * *

Mętny Henri lubił ludzi, ale nie tych, którzy mieszkali w pałacach. Co nie znaczy, że się nie starał. Któregoś dnia, kiedy towarzyszył IdrysPukkemu na bankiecie, spytano go z uprzejmym brakiem zainteresowania, skąd się tu znalazł. Sądząc, że kogoś ciekawią jego niezwykle losy, Henri zaczął opowiadać dzieje swego życia, poczynając od wychowania w Sanktuarium. Lecz szczegóły niedoli młodych wychowanków klasztoru odkupiciele nie wzbudziły poruszenia, tylko powszechny niesmak. IdrysPukke dosłyszał uwagę jakiegoś dworskiego wymoczka, który jęknął: „Boże, kogo to ostatnimi czasy wpuszczają na salony”. Następny komentarz nie uszedł również uwagi Mętnego Henriego. Wspominał właśnie swoją pracę w kuchniach pałacowych w Memphis i jakiś piękniś mruknął na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli: „Cóż za banan!”. Henri uchwycił pogardliwy ton wypowiedzi, lecz nie był pewien, co autor uwagi miał na myśli; może chciał wyrazić swoje współczucie, a on go źle zrozumiał. IdrysPukke uznał, że to odpowiednia pora, aby wyjść. Udał, że źle się czuje.

— Czemu ten człowiek powiedział, że to banan? — spytał chłopak w drodze do domu.

IdrysPukke nie chciał ranić jego uczuć, lecz Henri musiał się dowiedzieć, na czym polegają stosunki w tym środowisku.

— Powiedział „banał”. To słowo oznaczające coś pospolitego, niegodnego zainteresowania kulturalnego człowieka.

— To znaczy, że ten człowiek nie był miły?

— Nie.

Chłopak nie odzywał się przez minutę.

— Wolę banany — powiedział w końcu.

Bolało. Przez większą część czasu IdrysPukke jeździł gdzieś w interesach swego brata i Mętny Henri zostawał sam. Zdał sobie w końcu sprawę, że eleganckie towarzystwo Hiszpańskiego Leeds wcale go nie akceptuje, nawet jego najniższe szczeble (jeszcze bardziej snobistyczne niż wyższa arystokracja), chodził więc w tygodniu do jednej z okolicznych piwiarni, siadał w kącie, czasem wdawał się z kimś w rozmowę, lecz najczęściej jadł, pił i słuchał ludzi, którzy spędzali tu czas w towarzystwie. Za bardzo przywykł do noszenia sutanny, by czuć się swobodnie w innym ubraniu, tak więc poszedł za przykładem Cale’a i kazał krawcowej uszyć sobie kilka szat z niebieskiego sukna: dwunastouncjowych, z klapami w szpic, pilśniowymi kieszeniami, prostych, bez ozdób i lamówek. Wyglądał jak prawdziwy elegant, lecz w Hiszpańskim Leeds piętnastolatek w sutannie, ze świeżą blizną na policzku zwracał powszechną uwagę. Na drugim końcu sali dwaj Trevorzy obserwowali, jak Mętny Henri popija kwartę Wściekłego Psa, które to piwo wolał od Przyściennego czy Zataczanego.

Ku niezmiernej irytacji dwóch Trevorów przez następne dwie godziny Henri gawędził z różnymi klientami, a przez kolejne pół dawał się zagadywać wyjątkowo wylewnemu pijakowi.

— Jubisz seropiony?

— Słucham?

— Pyam, czy lubisz see ropiony.

— Ach — powiedział Mętny Henri po dłuższej chwili. — Czy lubię ser topiony?

— No, przesie mówie, nie?

Nie złościł się. Było dla niego coś prawdziwie cudownego w tych rozmowach, gwarze i śmiechu, zwyczajnie i miło spędzonym czasie, jeśli nie liczyć sporadycznych klientów, którzy upili się na smutno lub po pijaku zapalili się do bitki. Kiedy zamykano lokal, wyszedł razem ze wszystkimi, trzeźwymi i podchmielonymi. Dwaj Trevorzy ruszyli za nim w bezpiecznej odległości.

Byli to doświadczeni mężczyźni, którzy nigdy nie pozwalali sobie na nieostrożność, a niespodziewane zdarzenia traktowali jak chleb powszedni, lecz kiedy podchodzili do Mętnego Henriego, groziło im większe niebezpieczeństwo, niż mogli przypuszczać nawet tak niezwykle ostrożni zawodowi zabójcy.

Waleczne wyczyny, które okryły sławą Cale'a, nie tyle przyćmiły osobę Mętnego Henriego, ile całkiem ją przesłoniły. Dwaj Trevorzy wiedzieli, że jest niebezpieczny, bez dwóch zdań, w końcu znali jego akolicką przeszłość w klasztorze odkupicieli, wiedzieli, że trzeba być człowiekiem z żelaza, aby dożyć tam piętnastu lat, mimo to nie spodziewali się aż tak niemiłej niespodzianki, choć do niemiłych niespodzianek przywykli od lat.

Bądźmy szczerzy — dwóch przeciw jednemu jest nieuczciwą przewagą, zwłaszcza w środku nocy oraz kiedy osobami, które chcą zamienić z tobą słowo, są dwaj Trevorzy. Mętny Henri jednak już wiedział, że go śledzą, i zdążył zwiększyć swoje szanse. Wkrótce napastnicy uprzytomnili sobie swój błąd, cofnęli się w cień i zawołali:

— Czy to ty jesteś Mętny Henri? — spytał Lugavoy.

Chłopak odwrócił się tak, aby mogli widzieć sztylet w jego prawej dłoni oraz groźnie wyglądający kastet, który nakładał właśnie na lewą.

— Nie znam nikogo o tym imieniu. Zjeżdżajcie stąd.

— Chcemy tylko porozmawiać.